

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Ludka Znojko – Przejścia wojenne

Ludka Znojko opuściła Polskę przymusowo. Miała 13 lat, kiedy wywieziono ją wraz z rodziną w głąb Rosji. Z grupą polskich dzieci znalazła się w Afryce. W 1948 r. jako 21-letnia dziewczyna przyjechała do Anglii i spotkała Romka Iwaniszewskiego rodem z podgrodzieńskiej wsi Pyszki. Romek, mając 18 lat wziął udział jako ochotnik w obronie Grodna w dniach 20-21 września 1939 roku. Kilka dni później przekroczył granicę litewską, zaś w lipcu 1940 roku przejęli go Rosjanie i wywieźli do łagru juchnowskiego koło Smoleńska. W kwietniu 1941 roku niemal wszyscy jeńcy z tego obozu znaleźli się w Murmańsku i na półwyspie Kola, tam zmieniono im status na więźniów (*zakluczonych*). Romek pracował przy budowie lotniska wojskowego. W kilka tygodni po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej Polaków przetransportowano okrętem do łagru w Archangielsku, stąd po dwóch tygodniach pociągiem do stacji Wiaźniki. Minęło jeszcze kilkanaście dni i więźniów uznano nieoczekiwanie za sojuszników. Przyjechał płk Nikodem Sulik, szybko dopełniono czynności organizacyjnych i kolejnego przemieszczenia, tym razem bez konwojentów NKWD. W Tatiszczewie koło Saratowa zaczęło się szkolenie. Romek po wielu zaskakujących zdarzeniach ostatecznie trafił jako saper podchorąży do 5 Kresowej Dywizji Piechoty. Walczył pod Monte Cassino i Ankoną, był wśród żołnierzy wyzwalających Bolonię. Po zakończeniu wojny nie miał złudzeń, że powrót do Grodna oznacza nowe represje. Został więc w Anglii.

Ludka Znojko swoje dzieje po latach opowiedziała Janowi Siemińskiemu. Był to grodzianin o władniętym miłością do grodu nad Niemnem. Jako harcerz brał także udział w obronie Grodna we wrześniu 1939 roku. Podjął próbę wydostania się spod okupacji sowieckiej i dotarcia na Zachód. Złapany na granicy przeszedł wyjątkowo ciężkie śledztwo w więzieniu w Stanisławowie, dotrwał jednak do wkroczenia Niemców. „Jasiek” został zastępcą komendanta Szarych Szeregów Brunona Hlebowicza („Brunek”) na obszar Przedmieścia Zaniemeńskiego. Po przejściu frontu w lipcu 1944

roku, odszedł z Grodna na Białostoczczyznę, pozostawał w konspiracji poakowskiej do aresztowania przez UB w Sokółce. Po ucieczce przeniósł się do Krakowa, gdzie żył przez 12 lat pod zmienionym nazwiskiem. Zbierał materiały do przeszłości stron rodzinnych, podtrzymywał kontakty z rodakami. W III RP brał udział w pracach Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna, wydał wspomnienia pt. *Walczące Grodno i Przyszliśmy, żeby was wyzwolić*.¹ W maju 1993 roku przekazał mi maszynopis „Wyzwolenie ponowne, czyli wojna po wojnie”, ale nie zdążyliśmy dopracować tego tomu przed śmiercią starszego wiekiem Przyjaciela. Z myślą o druku w „Zesłańcu” wybrałem z materiałów Jana Siemińskiego relację Ludki Znojko (Iwaniszewskiej), nieco tylko poprawiłem stylistykę. Mam nadzieję, że wydam wkrótce i inne relacje zgromadzone przez „Jaśka”, dotyczące głównie zagłady przez NKWD, już po II wojnie światowej, zaścianka Zaniewicze na Grodzieńszczyźnie (okolice Indury).

Adam Dobroński

*

Dom rodzinny był wielki, z ogrodu dolatywał zapach kwitnących drzew owocowych a jesienią zapach owoców, zwłaszcza śliwek. Jesienią pełne kosze tego owocu stały na ganku, podwórzu i w sadzie, który ciągnął się aż do rzeki San; głos z nad rzeki ledwo był słyszalny na ganku dziadkowego domu. Jedno skrzydło domu zajmowały dwie stare panny, które pomagały babci w gospodarstwie. Babcia hodowała gęsi, miała ich setkę, a czasami i dwie setki. Dwa razy w roku, wiosną i jesienią, panny siadały w kuchni razem z babcią, brały między kolaną rozkrzyczane ptaki i obskubywały je z puchu. Dom dziadków w Radymnie² był miejscem, gdzie spędzałam każde święta i każde lato. Wyjazdy do dziadków stały się rzadsze, kiedy ojca przeniesiono z Jarosławia do Roszniowa, gdzie kierował wzmocnionym posterunkiem Policji Państwowej z uwagi na grasujące w okolicy bandy Ukraińców. Pobyt w Roszniowie nie trwał jednak długo. Za trafienie na ślad takiej bandy Franciszek Znojko otrzymał awans i prawo wyboru kolejnego miejsca pracy. Wybrał Kałusz.³ Był to już gorący czerwiec 1939 roku.

W nowym miejscu pracy już nie był zwykłym policjantem, otrzymał pracę biurową. Miał do czynienia z takimi, którzy uważali się za komunistów. Był dla nich zbyt pobłażliwy, by się na tym stanowisku wyróżnić. Widział w nich przede wszystkim pokrzywdzonych przez los biedaków.

Wojna kojarzyła mi się – miałam 12 lat – z wielką przygodą życiową. Wszyscy mieszkańcy twierdzili, że Kałusz nie będzie bombardowany ze względu na „Salinę”, kopalnię soli potasowych. Przepowiedzi te nie sprawdziły się. Drugiego września zawyły syreny kopalniane, niebo stało się czarne, a na stację kolejową spadły bomby niemieckie. 17 września Kałusz zajęli Rosjanie. Ukraińcy i Żydzi zbudowali bramę triumfalną na powitanie wojsk sowieckich. Przez

¹ J. Siemiński, „Walczące Grodno”. *Wspomnienia harcerza*, wyd. I, Białystok 1990; wyd. II, Białystok 1992 i tegoż, *Przyszliśmy, żeby was wyzwolić. Wspomnienia z Grodna i Stanisławowa (1939-1944)*, Białystok 1992.

² Radymno, miasto od 1431 r., położone na szlaku Kraków – Lwów, na lewym brzegu Sanu nad rzeką Radą.

³ Kałusz, miasto od 1549 r., około 100 km na południowy-zachód od Lwowa, w II RP stolica powiatu w woj. stanisławowskim. Wydobycie soli (saliny) odnotowane już w 1464 r.

Kałuż wojska wschodniego sąsiada ciągnęły prawie dwa tygodnie dniem i nocą. Razem z siostrą oglądałam ten przemarsz z okien swojego mieszkania.

Przy rynku miejskim, w kamienicy Felczyńskich, jednych z najbogatszych ludzi w mieście, właściciele zakładu ludwisarskiego, Sowieci urządzili sobie koszary wojskowe. Właściciele kamienicy, ich członkowie rodziny i lokatorzy musieli po prostu uciekać. Któregoś dnia, z rana, z okien kamienicy gruchnął nasz hymn *Jeszcze Polska nie zginęła*. Płyta zacinąca się w połowie, ktoś za każdym razem nastawiał ją od początku. Ludzie przystawali na ulicy, gapili się w okno i po chwili znikali. Wietrzono prowokację. Tymczasem sowieccy żołnierze bawili się w najlepsze.

Kiedy Sowieci rozgościli się w mieście na dobre, matka zapytała ojca: Co z Polską, co z nami będzie? Ojciec uspokajał i twierdził, że wszystko się ułoży, Polska będzie biała czy czerwona. W czasie pierwszej wojny ojciec jako ochotnik – żołnierz austriackiej armii – przebywał we włoskiej niewoli. Stamtąd dostał się do armii gen. Józefa Hallera. Jego kontakty z Rosjanami ograniczały się do udziału w regularnych potyczkach z „czerwonymi”; gonił ich aż do Mińska.

Kiedy w 1939 r. agresorzy ze wschodu weszli do Kałusza, mama namawiała go do ucieczki. Coraz częściej słychać było o aresztowaniach urzędników. Któregoś ranka obudziła się i mocno przerażona opowiedziała swój sen. Nie pytając ojca o zdanie, zaczęła przygotowywać się do podróży. Ojciec początkowo wzbraniał się, ale „straszny sen” znaczył więcej niż senne pukanie do drzwi. Pożegnał się ze wszystkimi domownikami i odszedł. Nie wyschły jeszcze dobrze łzy pożegnania, a o północy ktoś zapukał do drzwi. Matka, przeżegnawszy się, podeszła cicho do okna. Zobaczyła ojca. Wkroczył do mieszkania wesoły, lekko chwiejącym się krokiem. Zalatywało „żytniówką”. Udając się na Węgry zahaczył o miejscowy rynek. Spotkał tam przygodnego Rosjanina. Od słowa do słowa okazało się, że on także był pod Mińskiem. Wdał się w dyskusję. Knajpa znajdowała się za rogiem, popłynęły wspomnienia, wspólne śpiewy.

Rosjanie nie są tacy źli – zaczął od progu – Ty ich wcale nie znasz, mówił całując na przywitanie zapłakane jeszcze od pożegnania dziewczynki. Matka rzeczywiście Rosjan nie znała. W 1920 r. uciekła przed nimi z rodzicami do Wiednia. Za co mają mnie aresztować? Przecież nic złego komunistom nie zrobiłem - gadał ojciec od samego poranka. Był w dużym błędzie. Przyszli już następnej nocy. Przewrócili całe mieszkanie, szukali broni palnej lub radia. Na środek pokoju opróżnili pudło z ozdobami choinkowymi. Bombki choinkowe iskrzyły się pod butami sowieckimi, jak zamrznęty śnieg.

Znojków nazajutrz odwiedził Lupol, młody Żyd, właściciel zakładu fryzjerskiego. Powiedział: Przyjdą po pana, może nawet dziś, niech pan ucieka do Chocienia. Tam są Ukraińcy, tam pana szukać nie będą. Ojciec nie posłuchał, uparł się i pozostał w domu. Nie pójdę – stale powtarzał i czekał, co będzie dalej. Nie czekał długo. Tuż po północy zaczęli łomotać w drzwi. Zabrali jak siedział. Tej nocy aresztowano również pozostałych policjantów, a także urzędników z „Saliny” i kilku wojskowych. Wszystkich aresztowanych osadzono w miejscowym więzieniu. Przez kilka dni razem z matką donosiłyśmy ojcu obiady. Podawałyśmy strażnikom więziennym pełne naczynia, po upływie pół godziny odbierałyśmy puste. Czasami się udało przemyścić gryps. Któregoś dnia okazało się, że w nocy wszystkich wywieziono do Stanisławowa. Matka pocho-

dziła stamtąd, znała wiele wpływowych osób. Miała nadzieję, że dzięki temu uda się ojca wyrwać ze szponów NKWD.

Pewien bogaty Żyd, właściciel największego sklepu bławatnego w mieście, mieniący się przyjacielem ojca, obiecał pomoc. Był teraz kimś ważnym, zasiadał w nowych władzach Stanisławowa. Zebrał wśród swoich znajomych komunistów podpisy pod stosowną petycją, będącą prośbą o zwolnienie. Następnie kazał nam czekać. Kiedy zniecierpliwiona matka nie mająca żadnej wiadomości wysiadła na dworcu kolejowym w Stanisławowie, usłyszała rozmowę kolejarzy. Mówili, jak poprzedniej nocy kilkuset więźniów załadowano do wagonów i jak pociąg ruszył w kierunku północnym. W lutym 1940 r. przyszła pierwsza kartka od ojca. Pisał z Ostaszkowa: „...nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. Był jak zawsze optymistą. Za dwa tygodnie nadeszła wiadomość ostatnia. Już po wojnie natknęłam się na ślad ojca. Nazwisko znalazłam na tak zwanej liście katyńskiej.

W kwietniu tego roku, dokładnie dwunastego wieczorem, przyszli do mamy dwaj robotnicy z miejscowego browaru i poinformowali poufnie, że dziś w nocy będą nas wywozić na Sybir. Radzili natychmiast uciekać ofiarując pomoc w znalezieniu podwoły, namawiali wręcz usilnie.⁴ Wszystkie wozy służące do przewożenia beczek z piwem zostały na tę noc zarekwirowane do transportu mienia osób wywożonych. Woźnice otrzymali nakaz, aby stawić się w browarze o godzinie drugiej w nocy.

Antonina Znojko nie zdecydowała się na proponowaną eskapadę. Sąsiadka Krzyżanowska wieczorem oddała cały wypiek chleba i pomogła spakować najniezbędniejsze rzeczy domowe. Wszyscy czekaliśmy. Około trzeciej nad ranem rozległo się przeraźliwe stukanie w drzwi. Z dwóch stron, od frontu i od ogrodu weszli Ukraińcy i żołnierz sowiecki. Oświadczone, że pojedziemy do swojego męża i ojca. On tam pracuje, a wywózka jest spowodowana programem łączenia rodzin. Matka zachowywała się spokojnie, nic nie mówiła, tylko posłusznie kiwała głową. Rosjanin dziwił się wszystkiemu, a w szczególności, że łóżko drewniane i bez pluskiew. Dotykał mebli i płaszcz matki. O ósmej rano przybyliśmy na stację kolejową. W drodze matka przypominała sobie o przetworach, które mogły się przydać w długiej drodze. Nieznajomy woźnica obiecał po nie wrócić. Istotnie, kiedy już siedzieliśmy w wagonie towarowym, podał ponad głowami kosz pełen konfitur i kompotów.

Wagon był duży. Od bydlęcego różnił się tym, że w poprzek znajdowały się półki zbite z desek. Między nimi znajdowało się przejście, a na środku dziura w podłodze dla załatwiania potrzeb fizjologicznych. Okna zabite były deskami. Nawet w dzień słoneczny nie docierał promyk światła do wnętrza wagonu.. Jechali również tacy, którzy nie posiadali żadnego mienia, których wyrwano ze snu w środku nocy, dla których świat się zawalił; niektórzy udawali, że mają odrobinę nadziei. Żony inżynierów z „Saliny” Spolska i Garbusińska siedziały nieruchome jak kukły, wpatrzone w brudne deski towarowego wagonu. Nawet los własnych dzieci ich nie obchodził. Obie miały przy sobie po dwoje maluchów, przez całą podróż zajmowały się nimi kobiety nieznajome. Drzwi zaryglowane na stacji w Kałuszu otwarto po kilkunastu godzinach jazdy, późnym wieczorem. *Bojec* krzyczał: *Tri czelawieka, dwa wiedra i adin koc*. Do koca

⁴ Zwracają uwagę kilkakrotnie powtarzane objawy życzliwości wobec tej rodziny policjanta, także ze strony osób niepolskiej narodowości.

wrzucano kilka bochenków czarnego chleba a do wiader wydzielono odpowiednią ilość zupy. Troje ludzi przeniosło ten prowiant do wagonu.

Okna odsłonięto dopiero przed Kijowem, stanęłam na walizkach, zachłannie podziwiałam obrazy. Na dworze pachniało wczesną wiosną, zieleniła się trawa, świeciło zbawcze słońce. Podczas postojów kołchoźnicy usiłovali podać chleb lub odrobinę słoniny. Dzielili się tym, co zabierali ze sobą w pole. Zdarzało się, że podawali mleko i gorącą wodę, tak zwany *kipiatok*. Płyny wlewano do baniek spuszczonej na sznurku przez otwory okienne. W całym transporcie przeważały kobiety z dziećmi, żony tych, których kilka miesięcy wcześniej aresztowano i wywieziono w nieznane. Mleko i *kipiatok*, w którym rozpuszczało się cukier, był w tych warunkach prawdziwym darem życia.

Jechaliśmy przez Ural, pod koniec kwietnia dotarliśmy do Kazachstanu. Wysiedliśmy na małej stacyjce, dookoła jak okiem sięgnąć step. Równina aż do horyzontu i drgające czyste powietrze. W mojej pamięci do dzisiaj tkwi ten obraz, każdy ruch powietrza, każde źdźbło wyschniętej trawy, po której szłam. Był to całkiem nowy świat. Pomyślałam wówczas, czy kiedykolwiek wrócę do ludzi, do Kałusza, do ojczystego kraju.

Dalszy etap podróży to jazda ciężarówkami. Pod wieczór ujrzałam na stepie życie. W oddali majaczyły jakieś skromne zabudowania, widać było mieszkańców i hałaśliwie szczekające psy domowe. Wysadzono nas i cztery kobiety: Spolską, Garbusińską i Wolańską, żonę wicestarosty Kałusza oraz Niemirowską, żonę komisarza policji. Kołchoz „Kommunard”, w którym nas umieszczono, był niewielką osadą. Równoległe uliczki, a przy nich domy z gliny wyrywanej na stepie. Domy były kryte darnią. Na dachach latem rosły i kwitły stepowe kwiaty. W osadzie tej mieszkali rozkułaczeni Rosjanie i Ukraińcy. Żyła tam również staruszka babuszka Charytyma, córka polskiego zesłańca. U niej nasza rodzina, mama i córki, spędziła okres zimowy.

Zima 1940 roku była bardzo ciężka, mróz dochodził do minus 40, wiatry hulały po stepie. Właśnie wówczas wychodzili Polacy kraść wyschnięte łodygi słoneczników oraz pozostawione gdzieś kłosa pszenicy. Za czyn ten groziło dwa lata ciężkich robót. W taką jednak pogodę, nawet najbardziej sumiennym dozorcóm nie chciało się wychodzić na dwór. Tej srogiej zimy chatę babuszki Charytymy zasypało aż po dach. Przez kilka dni panowała ciemność, nie mogliśmy wydostać się na zewnątrz.

W srogie mrozy mama zamieniła oficerki męża na stożek *kiziaków*, wyschniętego bydłęcego nawozu, którym paliło się w prymitywnych paleniskach. Wywiezione Polki pracowały przy jego produkcji. Rozrzucały świeży nawóz po polu, a kiedy wysechł kroili go i układały w stożki. Dzieci zajmowały się pielęgnacją pszenicy. Ustawiano je tyralierą i szły wrywając wysoki jak one same piołun. Plewiły od rana do zachodu słońca, O zachodzie brygadzysta mierzył długość wyplewionego zagonu i przeliczał na roboczodniówki. Płacono dzieciom w naturze: kartoflami, mlekiem odciganym lub *kiziakami*. W lipcu i sierpniu wywożono dzieci na step, gdzie kilometrami ciągnęły się uprawne łąki słoneczników. Ja, jako jedna z najstarszych dzieci – miałam wówczas 13 lat – pracowałam na zgrabiarence, po raz pierwszy w życiu powoziłam koniem. Koń był wyjątkowo leniwy, nie raz musiałam go skarcić batem. Chyba był głodny jak powożąca. Kiedy zbliżała się pora obiadowa, co chwilę oglądał się za siebie.

Kiedy *pawarycha* nawarzyła zupy, wciągała na wysoki maszt szmatę koloru czarnego, Gdy koń ją zobaczył, zawracał i gnał przez pola jak wicher.

W końcu lata dzieci wracały ze stepu do *pasiołka*. Matka nie przywykła do ciężkiej pracy ciągle chorowała, pracując przy roztrząsaniu gnoju narobiła sobie pęcherzy na dłoniach. Mimo to brygadzysta codziennie po nią przychodził. W końcu wytworzyło się zakażenie, ręka zaczęła puchnąć i ropieć. Niura, dyrektorka poczty we wsi, była studentką medycyny, obejrzawszy rękę skierowała mamę do szpitala odległego o 40 kilometrów. Dziewczynkami zaopiekowała się Dulebowa, która sama posiadała pięć córek. Po kilku dniach otrzymałam list od matki z wiadomością, że ma nastąpić amputacja ręki. Nie pozwól na to – powiedziała babuszka Charytyma. Zabierz ją ze szpitala, będę leczyć. Posłuchałam, następnego dnia wybrałam się w drogę. Dzięki temu, że podwieźli mnie ludzie z sąsiedniej wsi, wieczorem byłam na miejscu.

Matka siedziała na ganku drewnianego baraku i patrzyła na drogę. Następnego dnia, dnia zaplanowanej operacji, postanowiłyśmy wczesnym rankiem opuścić szpital. Babuszka Charytyma ścierając szary kamień mówiła do matki: Ty niezwyčajna, Tonia, ty nie powinnaś pracować. Zasypywała rękę pyłem szarego kamienia znalezionej gdzieś w stepie i obmywała gorącą wodą. Robiła te zabiegi lekarskie na przemian. Po tygodniu ręka wyglądała znacznie lepiej, po dwóch rany się zabiły a opuchlizna całkowicie znikła. Ale matka już nie wróciła do pracy. Musiałam utrzymywać całą rodzinę, codziennie przynosiłam do domu litr mleka, kilka kartofli ukradkiem schowanych za pazuchą. Po wykopkach, kiedy razem z kulawym *dieduszką*, zostałam zatrudniona do pilnowania całego zbioru ziemniaczanego, mogłam brać ile chciałam, pod warunkiem aby nikt mnie nie spotkał po drodze. *Dieduszka* był surowy i przez całą noc, kuśtykając, ganiał złodziei wokół kopca, ale mnie wypychał ziemniaki mówiąc: *Bieri, bieri, ja niczewo nie wiżu.*

W sierpniu 1941 roku gruchnęła wieść radosna, że tworzy się wojsko polskie. Na początku miesiąca matka została wezwana do kantoru przed oblicze przewodniczącego kolchozu. Wręczono jej zaświadczenie stwierdzające, że od daty wydania tego dokumentu jest wolna. Dowiedziała się też, że tworzone wojsko polskie opuści Związek Radziecki. Razem z wojskiem wyjedzie również ludność cywilna.⁵

Podjęliśmy decyzję o opuszczeniu kolchozu i udaniu się na południe. Kuźniecownicy, u których ostatnio mieszkaliśmy, namawiali aby pozostać. Nie chcieliśmy tego nawet słuchać zwłaszcza, że do kolchozu przywożono rannych z frontu Ukraińców. Zięć Kuźniecowych, kolchozowy sekretarz partii, załatwił pojazdy konne, które przetransportowały nas do stacyjki kolejowej w stepie, na której przed prawie dwoma latami zostałyśmy wysadzone. Na stepowej stacyjce znajdowały się Dulebowa, Garbusińska i Znojkowa, kobiety i dzieci. Po kilku dniach nadszedł transport Polaków – cywilów i łągierników – zdążających na południe, do miejsca zbiórki. Łągierników można było poznać z daleka. Wyglądali jednakowo: obrośnięci, owrzodzeni i wychudzeni. To były żywe kościotrupy.

⁵ Ten akapit nie brzmi przekonywająco. Wiadomość o powstawaniu wojska polskiego docierała do *posiołków* kazachstańskich później. Niewiarygodnie brzmi też informacja o planowanym wyjściu wojska, którego jeszcze nie było i to razem z ludnością cywilną.

Jechaliśmy ściśnięci, głodni, gdyż nikt nie posiadał żadnych zapasów żywności. Ponadto życie utrudniały wszy oblepiające ciała jak pancierz. Pociąg często przystawał, nikt nie wiedział, kiedy i gdzie dojedzie. Wiadomo było tylko, że zdąży na południe. Ale im dalej na południe, tym więcej ludzi zapadało na biegunkę, tym większy był głód. Jedyne dostępne źródło wody były *aryki*, kanały nawadniające. W nich ludzie się myli, prali, poili zwierzęta i z nich czerpali wodę do picia.

Do Samarkandy, pierwszego zaplanowanego postoju w drodze do Buchary, dotarliśmy na początku listopada. Straszne wrażenie robiło to miasto. Bród i głód sąsiadowały z ginącym, poddającym się powszechnej nędzy, pięknem meczetów. Trzy dni koczowaliśmy pod gołym niebem. Wreszcie pociąg nadjechał i znowu miesiąc spędzony w wagonach, wśród chorób, głodu i śmierci. Na początku grudnia transport zatrzymał się w Bucharze. Kiedy wyładowywaliśmy się na peron, jeden z łagierników położył się na sąsiedni tor, wprost pod nadjeżdżającą lokomotywę. Krew trysnęła jak z fontanny, a wychudzone, ubrane w szmaty ciało podskakiwało w ostatnich śmiertelnych drgawkach.

Wkrótce nadjechały *arby*, to jest dwukołowe wózki powożone przez Uzbeków. Na jeden z nich swoje rzeczy załadowała para nieznajomych i moja mama Antonina Znojko. Szły za wózkiem noga za nogą, padając z wycieńczenia. Kiedy dotarliśmy do celu, to jest kolchozu oddalonego od Buchary tylko o 7 km, nie było ani nieznajomych, ani połowy rzeczy: pierzyny, poduszki, wełnianego szala itp. W kolchozie spotkano Burdzową, znajomą, która odstąpiła jedną *kibitkę*, to jest mały pokój w domu z gliny. Spało się na podłodze wyścielonej chrustem z krzewów bawełnianych.

Od razu zatrudniono nas do noszenia ziemi, tak bowiem przygotowuje się poletkę pod uprawę bawełny. Kiedy bawełna dojrzała, pracowałyśmy przy jej zbiorze. Po dwóch dniach zrywania białych, miękkich kłaczek osadzonych w ostrej koronie wyschniętego kwiatu, z palców ciekła krew. Każdego ranka budziły nas głosy wielbłądów – paa.. paa.. Było to dziwne, straszne żałosne wołanie. Związane w wielkie bele „białe złoto” ładowano na grzbiety tych zwierząt i karawana ruszała w wyznaczoną drogę.

W tym kolchozie mama zostawiła wszystko, co miała najcenniejszego. Głód był tak potworny, że zamieniała posiadany jeszcze dobytek na placki pieczone przez Uzbeków. Pewnego dnia wybrałyśmy się z mamą do Buchary. Został jeszcze jeden pierścionek. Zamożny Uzbek nawet nie spojrzał na niego, zaproponował natomiast inną transakcję, a mianowicie worek pszenicy za oddanie córki. Następnie zaprowadził nas do innego bogatego domu. Jego mieszkańcy obejrzeni pierścionek, ale zwrócili go nic w zamian nie proponując. Kiedy z pustymi rękami wróciłyśmy z Buchary okazało się, że pierścionek zniknął. Była to ostatnia cenna rzecz, jaką posiadałyśmy. Ostatnia pamiątka z innych, już nierealnych czasów. Matka wpadła w okropną rozpacz.

Tej nocy mama miała sen bardzo niespokojny, śniło się wiele ciekawych rzeczy. Widziała mieszkanie Uzbeków z detalami. Pod jedną z desek podwyższenia, zasłaną kołdrami i dywanami, służącą do siedzenia i spania, zobaczyła swój pierścionek. Wiedzioną snem rano, zaraz po wschodzie słońca, wyruszyła do Buchary. Weszła do domu zdziwionych Uzbeków i od razu, odsłaniając posłanie, trafiła na swój pierścionek. Nie próbowała zamieniać go na żaden towar. A zgłodniałych przechodniów pod meczetem kuśiło mięso ośle rozłożone

na drewnianych straganach. Natychmiast po tej historii mama zachorowała na tyfus. W kilka dni potem, z objawami choroby zabrano do szpitala także Burdzową. Dwaj chłopcy Burzowej, lat 10 i 12 oraz ja i moja siostra Iza zostaliśmy sami, niemal bez szans na przeżycie.

Jako najstarsza zdecydowałam się szukać pomocy w polskiej placówce w Bucharze. Od matki wiedziałam, że taka placówka w tym mieście działa. Porucznik Winnicki codziennie krążył po stacji w Kaganie.⁶ W każdym nadchodzącym transporcie znajdował kilkanaście polskich sierot. Zabierał je na placówkę, karmił, jeśli miał czym i kierował, gdzie tworzyła się polska ochronka. Kagan położony był 40 km od Buchary. Czwórka wygłodniałych dzieci i wycieńczonych przebyła tę drogę w ciągu czterech dni. Kagan był punktem zbiórki, po dalszych dwóch tygodniach sierociniec miał być przeniesiony do Aszchabadu.

Tak się też stało. Aszchabad wydawał się nam biblijnym rajem. Solidny budynek, wielkie podwórko otoczone wysokim murem. Na środku, w dniu przyjazdu dzieci, rozpalono wielkie ogniska. Palono wszystkie łachmany, jakie dzieci miały na sobie. Rzeczy osobiste wykładaly na długą drewnianą ławę. Położyłam i swój pamiętnik, pisany od chwili wyjazdu z Kałusza. Hrabia Tyszkiewicz, mąż Hanki Ordon, która sierociniec prowadziła, zainteresował się tym zeszytem.⁷ Nazajutrz, po pierwszej nocy spędzonej w łóżku, wykąpana i przebrana w nową sukienkę udałam się na rozmowę z hrabią. Opowiedziałam o swoim pomysle wydania zapisków w zeszycie w formie książki Powiedział wówczas do mnie: Twój pamiętnik będzie najlepszym świadectwem gehenny polskich dzieci w Rosji Radzieckiej. Przystałam na propozycję, hrabia zapewnił, że po wojnie na pewno mnie odnajdzie i pamiętnik zwróci.

*

W Aszchabadzie Ludka zachorowała na tyfus, wyjechała do Persji ostatnim transportem. Skierowano ją przez Afganistan do Indii, tam w Jamnagar odnalazła siostrę Izę i podjęła naukę w gimnazjum. Następnie, po długiej i egzotycznej podróży, dziewczęta znalazły się w Rodezji i tam, w Marandelass spotkały mamę (stała na peronie, jakby czekała na umówiony przyjazd córek). Kontynuowały naukę w gimnazjum w Digglefold. Tu usłyszały, że „wojna się skończyła, ale Polska nie jest wolnym krajem”. W październiku mama i córki Znojko wsiadły na statek, który wziął kurs do Anglii. Ludka podjęła pracę w przędzalni w rejonie Manchesteru. Romka Iwaniszewskiego poznała w styczniu 1949 roku na weselu koleżanki, pobraли się, we wrześniu 1950 roku kupili stary domek. Utrzymywali kontakty z rodakami, starali się o utrzymanie polskości. W 1965 roku córki Iwaniszewskich po raz pierwszy odwiedziły kraj ich rodziców. Dziesięć lat później zapadła decyzja o przenosinach do Polski, ale tylko z najmłodszą córką; dwie starsze wrosły już w angielskie otoczenie.(A.D.)

⁶ Miasto odległe o kilkanaście km od Buchary, od 1888 r. stacja kolejowa na Kolei Zakaspijskiej. W relacji zamiast nazwy Kagan – Kagana i znacznie większa odległość od Buchary. Autorka relacji wraz z matką i siostrą przebywały jednak poza Bucharą, więc mogły mieć do stacji Kagan aż 40 km.

⁷ Polecam: H. Ordonówna, *Tułacze dzieci*, Łomianki 2005.